

Cz. I

BORNHOLM – PERŁA BAŁTYKU

**PATRZĄC W DAŁ, MAM DUŻE
WĄTPLIWOŚCI, CZY NALEŻY
PŁYNAĆ, ALE ZAPADAJĄ DECY-
ZJE – PŁYNIEMY!**

swojej wieloletniej przygodzie z kajakami kilkakrotnie zetknąłem się z kajakarstwem morskim. Były to lata osiemdziesiąte. Działający do dziś bardzo prężnie klub Marynarki Wojennej – Delfin Gdynia, organizował spływy kajakowe, połączone z długodystansowym wyścigiem na Zatoce Puckiej. Miałem okazję uczestniczyć w tych imprezach i pamiętam, że już wówczas pływanie po morzu bardzo mnie

kręciło. Jednakże czasy się zmieniły i impreza na Zatoce Puckiej odeszła w niebyt. Tym bardziej ucieszyłem się na wieść o tym, że grupa przyjaciół i znajomych organizuje wyprawę kajakową dookoła Bornholmu. Zgłosiłem swój akces i udało się. Zostałem pozytywnie zweryfikowany i przyjęty do grupy ruszającej na Bałtyk. Spotkaliśmy się wszyscy w Świnoujściu w Forcie Gerharda. Bardzo imponująca zbieranina osobowości ze

świata kajakowego, z całego kraju. Zjechali przedstawiciele różnych nurtów tego sportu. Kajakarze błotno-szuwarowi, górscy, zwałkowi (grupa KiM), morscy, długodystansowcy oraz maratończycy. Jednym słowem, wszyscy ci, których kusiła wielka przyгода, za sprawą magicznego słowa – Bornholm. Gospodarze Fortu Gerharda okazali się wspaniałymi ludźmi. Oprowadzili nas po tej potężnej, monumentalnej budowli,

pokazując wszystkie zakamarki i opowiadając historię fortu. No i przede wszystkim udzielili nam gościny i schronienia. Wieczór spędziliśmy na ostatnich przygotowaniach oraz klarowaniu sprzętu. Następnego dnia okazało się być bardzo pracowity. Przerzuciliśmy samochodami kajaki do portu promowego w Świnoujściu. Prom *Pomerania* okazał się być bardzo gościnnym miejscem. Personel, z pełnym zrozumieniem dla tak dziwnych pasażerów, bez przeszkód zaokrętował nas i nasz sprzęt. Podróż minęła wspaniale, siedzieliśmy na pokładzie, podziwiając morze, przy okazji grając na gitarze i śpiewając, co nam dusza podpowiadała. W okolicach późnego popołudnia dotarliśmy do portu w Rønne, skąd mieliśmy wystartować w dalszą drogę – już kajakami. Bornholm przywitał nas umiarkowanym zachmurzeniem i lekką mżawką. Szybciutko znieśliśmy łódki oraz pozostały sprzęt na ląd i udaliśmy się na poszukiwanie jakiegoś slipu. Nie było najgorzej. Po przejściu pół kilometra znaleźliśmy dogodnie miejsce do wodowania naszych jednostek. Za pomocą wózków przetransportowaliśmy wszystko nad wodę. Jeszcze tylko pakowanie i w drogę. Przepłynęliśmy przez niewielki port jachtowy i przy bardzo spokojnym morzu

ruszyliśmy do najbliższego campingu. Miejsca biwakowe na Bornholmie są rozmieszczone wzdłuż wybrzeża, praktycznie nie ma ich w głębi wyspy. Płynąc niespiesznie, docieramy do pierwszego biwaku. Położony jest na przedmieściach Rønne, na wysokiej skarpie. Taszczymy nasze jednostki oraz wszystkie graty przez piaszczystą plażę, mocno pod górę.

Czuję się, jakbym zdobywał Oznakę Turysty Górskiego, czy jak to się nazywa. Wreszcie jesteśmy. Zadbany teren i cała infrastruktura robią bardzo dobre wrażenie. Rozstawiamy namioty i zasiadamy do kolacji. Jest okazja, żeby się sobie przyjrzeć. Moim partnerem na dobre i złe jest Paweł „Ziomal” Kosmala, kajakarz, speleolog i paralotniarz w jednej osobie, a przede wszystkim tak samo jak ja jest nauczycielem. No i jeszcze jedna cecha nas łączy, obaj bardzo lubimy muzykę, gramy i śpiewamy ku ucieście tych, którzy chcą nas słuchać. Wieczór mija szybko. Jest uroczo i spokojnie, pogoda coraz ładniejsza, będzie nieźle – myślę sobie. Następnego dnia upływa nam na szkoleniu i treningu na wodzie. Stan morza to jakieś 1–1,5 st. w skali Beauforta. Podpórki, eskimoski, elementy ratownictwa i inne ewolucje z zakresu

foto: Marek Mazur

foto: Marek Czaczka

kajakarstwa wypełniają nam czas. Po południu idziemy do miasta oraz zwiedzamy okolicę. Robi się wieczór, schodzimy na plażę i siadamy na rozgrzanym piasku. Gram na gitarze. Zaczynają się śpiewy i wspaniała zabawa. Dołączają do nas Duńczycy, którzy również przyszli pobawić się nad morzem. Wytwarza się wspaniały klimat, impreza trwa do późnego wieczoru. Wreszcie wracamy do namiotów. Po drodze widzimy mnóstwo rowerów „porzuconych” przy drodze wiodącej nad wodę. Ich właściciele są jeszcze nad morzem i nie mają żadnych obaw przed utratą swoich bicykli. No cóż, może nasze dzieci doczekają takich czasów w naszym kraju. Kolejny dzień zaczyna się od zniesienia kajaków i sprzętu. Ależ to wszystko jest ciężkie! Wreszcie ruszamy, jest świetnie, ale wzmacnia się wiatr. Zaczynają się pojawiać małe falki, które z czasem przekształcają się w pokaźne fale. Płynę pewnie, a zarazem ostrożnie. Muszę w tym miejscu powiedzieć, co mnie niesie po wodzie. Jest to potężna „dwójka” Baltic II Expedition z „Plastexa”. Dlaczego? Gitara wraz z futerałem zajmuje całe miejsce z przodu kajaka standardowo przeznaczone dla szlakowego. Czuję się w tym sprzecznie pewnie i komfortowo, pomimo wzmagających się fal. W okolicy miejscowości Mulety zaczyna źle się dziać. Prowadzący grupę płynie zbyt blisko brzegu i prowadzi nas na wielkie kamole, o które rozbijają się fale. Część spływowiczów idzie w morze, omijając niebezpieczeństwo czyhające zbyt blisko brzegu. Okazuje się, że to dobra opcja. Idący przy brzegu mają problemy i zaliczają „kabiny” – dwie osoby lądują w wodzie. Następuje akcja ratunkowa, w efekcie której wszyscy szczęśliwie lądują na piaszczystym brzegu. Grupa, która popłynęła dalej, również dopływa do plaży, a właściwie zostaje „wniesiona” przez wzburzone morze. Ten moment okazuje się przełomowym. Żywiol zaczyna pokazywać swoje pazury. Decyzje są jednoznaczne – zostajemy na plaży. Wieje jak cholera, dobrze, że nie pada. Morale w grupie troszkę spada, ale nie ma rady, zostajemy na nocleg. Rano jest jeszcze gorzej.

ZACZYNA SIĘ WALKA Z ŻYWIOLEM, DOCHODZI DO MNIE, ŻE JEST TO WALKA O ŻYCIE. STARAM SIĘ PŁYNAĆ NA WYCZUCIE, WZDŁUŻ BRZEGU, KTÓREGO PRAKTYCZNIE NIE WIDZĘ.

Morze „wstaje” coraz bardziej, myślę, że jest 3–3,5 st. Patrząc w dal, mam duże wątpliwości, czy należy płynąć, ale zapadają decyzje – płyniemy! Na początku mają wystartować „dwójki”, później „jedyńki”. Założenie podstawowe to utrzymanie zwartego szyku i wzajemna asekuracja. Pierwszy wyrusza nasz Komandor na „dwójce” Klleppera – nie daje rady, fale wyrzucają go na brzeg. Ja już siedzę w moim „Bałtyku” i patrzę z obawą na ogromne fale. No, ale jak bardziej doświadczeni wiedzą, co robią, to chyba wiedzą dobrze. Daję znać Pawłowi, że jestem gotowy i ruszamy. „Ziomal” spycha mnie w morze, a ja daję ognia. Przechodzę przez dwie pierwsze fale przybojowe bez problemu i wtedy czuję, że mam zablokowany ster. Trzecia fala przelewa się przeze mnie i stawia kajak bokiem – jest bardzo źle. W tym momencie ster puszcza i wraca na miejsce. W ostatniej chwili prostuję łódkę i idę ostro w morze. Jestem sam, nie wiem, czy jeszcze ktoś wypłynął, czy nie. Brak szans

na odwrócenie się i skontrolowanie sytuacji. Gdybym to zrobił, wywrotka byłaby pewna. Morze rzuca mną na wszystkie strony. Co chwila lecę w górę i w dół – między wielkie fale. Zaczyna się walka z żywiołem, dochodzi do mnie, że jest to walka o życie. Staram się płynąć na wycucie, wzdłuż brzegu, którego praktycznie nie widzę. Wiem, że jedynie słuszny kierunek to lekki skos, który doprowadzi mnie do portu w Hasle. W pewnej chwili, po mojej lewej stronie, wynurza się czerwony kajak. Patrząc z niedowierzaniem i wielką radością – nie jestem sam. Dogonił mnie Sebastian „Seba” Figat. To też półtora gościa. W ubiegłym roku wymyślił sobie, że przepłynie z Ukrainy przez Białoruś i Polskę do Berlina. Niestety, władze Białorusi miały inne spojrzenie na jego ekspedycję. Został zatrzymany w Brześciu. Przez dwa tygodnie był przewożony z więzienia do więzienia i przesłuchiwany. Puszczono go po czternastu dniach, jak stał – w skarpetkach. Cieszę się niemiłosiernie, że „Seba” jest ze mną. To

bardzo twardy gość. Ustalamy, że walczymy razem. Krok po kroku zbliżamy się do główek portu w Hasle. Widzę wielkie fale przewalające się przez portowy falochron i strach ściska mi gardło. Jeżeli wrzuci nas na betonową ścianę, będziemy rozmażani jak meduza. Udaje się! Wjeżdżamy do portu, serfując na falach, jeszcze tylko kilka ruchów wiosłem i otacza nas spokojna, gładka woda. Piekło zostało za falochronem. Patrzymy z Sebastianem na siebie i nic nie mówimy – było blisko... Płyniemy przez port, szukając slipu. Mijamy zacumowany jacht pod litewską flagą. Z pokładu zagadują nas: „Polacy?”. Ano Polacy. „A skąd się wzięliście?” Ano z morza. „Jak to z morza, przecież jest sztorm i obowiązuje zakaz wychodzenia w morze, nawet dla kutrów rybackich?” My nie wychodzimy w morze – odpowiadam – my stamtąd przyplłynęliśmy. Patrzą na nas ze zdumieniem i niedowierzaniem. Kamikadze czy co – słyszymy ich komentarz. Nie odpowiadam, bo co tu gadać. Nasi nowi znajomi zapraszają na

foto: Krzysztof Migas



jacht i częstują kawą i kanapkami. Trzymam oburącz kubek, ręce mi się trzęsą i z trudem udaje mi się nie wylać czarnego płynu – było blisko, bardzo blisko... Posilając się, wychodzimy z „Sebą” na falochron i przecieramy oczy ze zdumienia. W falach znikają i pojawiają się jeszcze dwa kajaki. Kto to? Wreszcie rozpoznajemy

– to mój przyjaciel Paweł „Ziomal” i Basia Kokot z Gdańska. Dla Basi machnięcie 100 km to drobiazg, jest superkajakarką i kumpelą. Obserwujemy ich zmagania z falami i mamy wielkie obawy, czy dadzą radę. Wreszcie wpływają do portu. Jeszcze raz udało się! Jesteśmy we czwórce i zadajemy sobie pytanie, gdzie reszta? Po

chwili z portowej uliczki wynurza się wysoka postać Marka Czaczki „Czaczki” – gościa z Sopotu. Wymieniamy pierwsze wrażenia. Martwili się bardzo o nas, a my o nich. Morze nas rozrzuciło i to bardzo. Dowiadujemy się od Marka, że pozostała część grupy po wyjściu na wodę uznała, że to się nie może udać i zawróciła na plażę po przepłynięciu kilkuset metrów. Miejsce to nazwaliśmy później Plażą Omaha. Większość kajaków lądowała na brzegu do góry dnem, i tylko nielicznym udało się dopłynąć normalnie. Pozbierali się i ruszyli brzegiem, ciągnąc łódki na wózkach, do campingu w Hasle. My zostawiliśmy swoje jednostki w porcie przytulone do ściany portowego baru. Właścicielka – starsza pani, nie wiedziała żadnego problemu i obiecała dopilnować naszego dobytku. Idziemy wszyscy razem na biwak i po drodze spotykamy pozostałych uczestników wyprawy, którzy lądowali na „Plaży Omaha”. Rozmowa z Komandorem spływu i jedną z osób z kadry jest niezwykle ostra i męska. Dochodzi do granicy, gdzie słowa nie wystarczają. Emocje wycisza Adam Biedrzycki, który jest człowiekiem bardzo spokojnym, rozsądnym i racjonalnie myślącym. Wkracza między zwaśnione strony i proponuje dokończenie rozmowy wieczorem, gdy opadną emocje i adrenalina. W porządku facet – ten Adam. W końcu docieramy do campingu w Hasle. Myślę, że wszyscy mamy dość. ■

foto: Marek Mazur

Krzysztof „Ptaku” Ptasieński

